Dodatek do Nr. 6 „Prawdy".

RODZINA

PISMO POŚWIĘCONE WYCHOWANIU I NAUCE DOMOWEJ.

Numer 3. Sobota, dnia 8-go Lutego. Rok 1908

A. GENNEVRAYE.

ULICZNIK.

POWIEŚĆ Z FRANCUSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Pewnego poranku doręczono mu list z poczty. List!

Było to istotnie zdarzenie tak niezwykłe w życiu człowieka, który nie miał nikogo na świecie, że go przeraziło w pierwszej chwili. Kto mógł do niego napisać? Należał on do tej garstki wojskowych rozbitków, których nic oprócz wspomnień nie łączyło z przeszłością. Nie mając rodziny, krewnych ani przyjaciół po za obrębem Domu Inwalidów, nie odbierali oni nigdy listów ani odwiedzin, i całe ich życie ze wszystkimi jego celami i interesami skupiało się dla nich obecnie w murach tego gmachu, który wzamian za niezliczone trudy i poświęcenia, wdzięczna ojczyzna przeznaczyła im na schronienie.

Nic też dziwnego, że Gaveau, trzymając w ręku nierozpieczętowaną kopertę, stał, jak piorunem rażony, i nie mógł się zdecydować na jej otworzenie.

— Co to być może? — myślał, przesuwając ją w palcach i uważnie odczytując adres.

Zdecydował się wreszcie, rozerwał kopertę i drżącymi palcami wyjął arkusz papieru z nagłówkiem:

„Szpital Lariboizyer".

Szanowny Panie!

Chłopiec, imieniem Izydor, przyniesiony do szpitala ze złamaną nogą, powołuje się na pana i prosi, abyś go raczył odwiedzić.

Z poważaniem

N. N. jeden z pacyentów.

— Milion karabinów! — krzyknął Gaveau. — Nieszczęśliwe dziecko! A ja go obwiniałem!... I na mnie się powołuje! Mnie wzywa! Mnie, starego niedołęgę, którego widział dwa razy!... Biedne, opuszczone dziecko!...

I poruszony do głębi, biegał po podwórzu, stukając drewnianą nogą o kamienie.

— O, tak! Muszę się spieszyć! Noga złamana! Może kuleć — kulawy żołnierz!... Nie, to niepodobna!...

W samo południe, po starannym przeglądzie galowego munduru, do którego nie zapomniał przypiąć wszystkich medali i krzyża Legii Honorowej, Gaveau, nie zwlekając chwili, wybrał się do szpitala.

Był tak zamyślony, że przechodząc przez Pola Elizejskie, o mało nie wpadł pod koła krzyżujących się w tym punkcie powozów, stangreci musieli zatrzymywać konie, aby omijać tę żywą przeszkodę. Nakoniec przybył na miejsce.

Tu zeszło mu dosyć czasu, nim się zdołał dowiedzieć, gdzie leży Izydor.

— Drugie piętro, sala Nr. 3.

Minąwszy jeden i drugi korytarz, Gaveau znalazł się wreszcie przed drzwiami, opatrzonemi Nr. 3.

Był to duży, podłużnego kształtu pokój, jasny i czysty. Na łóżkach, ustawionych dwoma rzędami, spoczywali chorzy, koło których krzątały się zakonnice.

Sierżant zatrzymał się niedaleko progu, rozglądając się na wszystkie strony.

— Pan sierżant! — zabrzmiał koło niego słaby głos dziecinny.

I w tej chwili spostrzega znaną mu dobrze drobną, mizerną twarzyczkę i duże smutne oczy, na białej pościeli poblizkiego łóżka.

Stary żołnierz zbliża się szybko, bezwiednie prawie chwyta małą główkę w swe wielkie, twarde ręce i okrywa pocałunkami. Łzy spływają mu przytem zbyt widocznie po zoranej bróździami, zwiędłej i kościstej twarzy.

— Dziękuję panu, żeś przyszedł — szepcze tymczasem malec — nie wiedziałem, czy będziesz mógł a nie chciałem, abyś myślał, że się włóczę naprożno zamiast rozmawiać z panem.

— Powiedzże mi, moje dziecko, kto cię tak pięknie urządził?

— Dorożkarz na przedmieściu Montmartre: myślałem, że już niczego nie będę potrzebował.

— Bardzo cierpiałeś?

— O, tak! Miałem poszarpane ciało i kość złamana. Dorożkarz uciekł! a mnie przyniesiono do szpitala, gdzie doktorowie nie mieli nade mną litości.

Blada twarz chłopca i cierpiący wyraz oczu nadawały tym słowom silniejsze jeszcze znaczenie.

— Długo będziesz leżał?
— Mówią, że wstanę dopiero za miesiąc.
— A major... cóż myśli?
— Major? Nie rozumiem pana.
— No, doktor. Czy mówił, że będziesz kulał?
— Doktor? O, ten się nie wdaje w rozmowę. Bałbym się go zapytać.

Widocznem było, że chłopiec nie wie, co mu grozi, i Gaveau zaczął mówić o czem innem.

— Cóż robisz przez cały dzień? — spytał.
— Nudzę się. Mój sąsiad nie rozmawia ze mną; płacze ciągle, a gdy żona przyjdzie go odwiedzić, płacze jeszcze więcej. Gdyby to nie było tak daleko, i gdyby pan, panie sierżancie, mógł czasem...
— Przyjdę, przyjdę napewno, możesz na mnie liczyć.
— A pańska noga?
— Głupstwo, spełnia swoją powinność tak dobrze, jak każda inna. Tu jest coś, co ją prowadzi.

I wskazał na pierś z uśmiechem.

Izydor uśmiechnął się także. Wtedy stary wojak wyjął z kieszeni kupioną po drodze pomarańczę.

— Masz — rzekł — to bardzo dobre, szczególnie, kiedy się pić chce.

Malec wyciągnął rękę.

— Ach, jaka śliczna! — wykrzyknął z zachwytem. — Jeden z chorych, ten obok, jadł raz taką samą. To mi sprawiało pragnienie.

Poprawił się na posłaniu i drżącą, chudą rączyną zabrał się natychmiast do obierania owocu, a sierżant, patrząc na to, był tak rozpromieniony, że zapomniał o powrocie.

Lecz wszystko na świecie ma swój koniec: trzeba się było rozstać.

— Przyjdziesz pan znów niezadługo? wszak prawda?
— Przyjdę, bądź spokojny.

I stary wiarus mocno uścisnął chudą rączkę, którą chłopiec z ufnością wyciągnął do niego. Drewniana noga zastukała o posadzkę, a Izydor smutnemi oczyma przeprowadzał wysoką postać przyjaciela aż do wielkich wchodowych drzwi sali.

Odtąd z punktualnością prawdziwie żołnierską, Gaveau co drugi dzień przychodził do szpitala, przynosząc zawsze małemu rekonwalescentowi (przychodzącemu do zdrowia) jabłko, pomarańczę lub inny łakotek. Zaprzestał nawet palić, on, który przywykł do fajki od lat z górą czterdziestu! Kosztowało go to trochę, zwłaszcza w początkach, ale przyjemne wzruszenie, jakiego doświadczał na widok radości dziecka, wynagradzało mu tę ofiarę. A gdy sięgając do kieszeni, pytał: „Zgadnij, co ci dziś przyniosłem“, czuł się tak szczęśliwym, jak nigdy.

Chłopiec zgadywał z błyszczącemi oczyma, uśmiechnięty i rozpromieniony, a gdy z apetytem zajadał duże ciastko, lub chrupał cukrową fajeczkę, sierżant czuł radosne bicie serca.

— Moja fajka doprawdy nie warta tej z cukru — mruczał, ciągnąc na dół wąsa.

IV.
Karta z życia starego żołnierza.

Od czasu jak sierżant Gaveau zaczął odwiedzać Izydora, siostry, posługacze, a nawet i chorzy okazywali małemu nierównie więcej względów.

— Czy to pański chłopiec? — pytano nieraz weterana.

Gaveau odpowiadał z powagą:

— Nie; to syn jednego z moich dawnych kolegów.

Nie chciał, aby wiedziano, że ten, który stał mu się drogim, był biednym podrzutkiem bez dachu i rodziny.

Chłopiec tymczasem spoufalił się z nim na dobre i za każdą wizytą wyciągał starego na różne opowiadania.

— Opowiedz mi pan co nowego — mówił, skoro tylko sierżant zajął zwykłe miejsce przy łóżku.

I wiarus zaczynał po krótkim namyśle:

— Było to wieczorem w Afryce, pod marszałkiem Buigo. To mi głowa! Niby spokojny, a do kroćset! nie było z nim żartów. Gdy krzyknął: „Naprzód!“ — ruszaj choćby w piekło! Tego wieczoru, po ośmiogodzinnym marszu pod palącem, zwrotnikowem słońcem, byliśmy pomęczeni jak wyżły. Kto tylko żył, rzucał karabin i wyciągał znużone członki na gorącym piasku.

Obóz nasz przytykał do lasku mastykowego. Drzewa to niewielkie, nie wyższe od bzów w ogrodzie, ale nie wiedzieliśmy, że za niemi kryje się zasadzka. Zjadłszy zupę, którą na szczęście zdążono ugotować, pokładliśmy się, jak kto mógł, skwitowawszy z reszty. Śpimy w najlepsze, gdy naraz: pif, paf! — strzały! Naprzód z prawej, potem z lewej strony, nareszcie z frontu! Zrywamy się na równe nogi. W takich razach toaleta nie zabiera wiele czasu, w mgnieniu oka stanęliśmy pod bronią, w czworoboku, plecami do siebie, z bagnetami naprzód, upatrując nieprzyjaciela. Ten był niedaleko; świadczyły o tem ciała naszych towarzyszów; jeden z nich krzyczał jeszcze: „Moje ramię!“ inni...

Noc była widna i widzieliśmy dokładnie wysokie postacie jeźdźców w białych burnusach, okrążające nas zewsząd. Dowodził nami podpułkownik Kanrobert... zapamiętaj sobie, malcze, to nazwisko, — sierżant przyłożył dwa palce do czoła. — Znałem wielu zuchów, ale żaden mu nie dorównał....

— A Arabowie? — przerwał zaciekawiony Izydor.
— Zbliżali się, strzelając ciągle i otaczając nas coraz ciaśniejszym pierścieniem, a było ich pewnie ze cztery razy tyle, co żuawów (wojsko francuskie w Algierze).
— Więc?
— A więc dowódca zakomenderował:
— Zaprzestać ognia! Na kolana!

Rozkaz spełniono, wódz tylko stał w czworoboku, sam jeden, spokojny, jak ty na łóżku!

Arabowie zbliżają się coraz bardziej, nie widząc nas prawie w cieniu, ale gdy się znaleźli nie dalej niż o dwadzieścia kroków:

— Ognia! — zakomenderował Kanrobert.

Palnęliśmy, huknęło, dym zasnuł powietrze, a dwudziestu Arabów runęło na ziemię! Reszta pierzchła w nieładzie. Nie widzieliśmy ich więcej tej nocy.

— A ci, którzy upadli?
— Ci? Byli między nimi tacy, którym się już nic nie należało; innych złożono na furgony i odwieziono do fortecy.
— Ależ to okropne rzemiosło!
— To nie rzemiosło, dzidku, to stan.
— A jakaż jest różnica między rzemiosłem a stanem.

— Różnica? Hm... różnica...

I sierżant zamyślił się, nie mogąc znaleźć odpowiedzi. Nagle twarz jego ożywiła się, oczy zabłysły.

— Widzisz, dziecko, rzemiosło jest to zajęcie, które daje zarobek, a stan... przynosi honor. Takim właśnie jest stan wojskowy.

I umilkł stary wiarus, a wspomnienia dawno ubiegłej, lecz niezapomnianej przeszłości na dźwięk wyrazu: honor, żywo stanęły mu w pamięci. Honor pułku! To poczucie obowiązku, ożywiające w równej mierze wszystkich: od najwyższego z generałów aż do prostego żołnierza; to gotowość do ofiar i poświęceń, wpojona przez wychowanie, wskazana jako ideał; to sztandar, prowadzący do zwycięstw i sławy, sztandar, który się traci tylko razem z życiem; to wszystkie te świetne czyny, trudy i znoje, znoszone lekkiem sercem w imię powinności i zasady! A on sam, Gaveau, ileż razy narażał się na śmierć i kalectwo, nim zdobył ten krzyż, którego wstążeczka droższą mu była stokroć niż 250 franków, jakie pobierał od chwili, gdy jedna z nóg jego pozostała na placu boju!

Przeszłość, ta droga przeszłość! Ileż ofiar, ile krwi przelanej! Ale za to ile sławy, ile dumy w sercu, ile szczęścia opartego na poczuciu rzeczywistej zasługi! Jak piękne wspomnienie tych dni, gdy defilujące przed wodzami swymi szczątki zwycięskiej armii w uroczystem milczeniu słuchały zwróconej do nich przemowy! Co chwila wygłaszano jakieś nazwisko, a wywołany wysuwał się z szeregu blady i drżący, więcej wzruszony, niż wobec nieprzyjaciela, stawał przed frontem, a wódz naczelny odzywał się do niego w te słowa:

— Kapralu, sierżancie albo poruczniku, i tak dalej, aż do pułkownika, — twojem zachowaniem się zasłużyłeś na nagrodę, i tej ci w obliczu całej armii udzielam

I przypinano mu do piersi krzyż albo order. Krzyż! Zdawało się, że pierś ci spali! Budząc się, dotykałeś go naprzód, aby się upewnić, że to nie było złudzenie! Izydor musi kiedyś zrozumieć te uczucia, musi mu uderzyć serce na dźwięk słów: honor, ojczyzna!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Jak żyli ludzie stuletni?

Niezliczone mamy z dawnych i nowszych czasów przykłady długowieczności, tak liczne, że możnaby niemi całe tomy zapełnić. Lecz w wielu tylko stosunkowo wypadkach znany nam jest tryb życia tych ludzi, którzy tak znacznie przekroczyli przeciętną miarę życia ludzkiego. A jednak, byłaby to rzecz niezmiernie ciekawa, a nawet pożyteczna, wiedzieć, w jaki sposób oni żyli. Czy osiągnęli oni tak wyjątkową długowieczność za pomocą dogadzania sobie we wszystkiem, jedząc i pijąc dobrze i prowadząc tryb życia wygodny i próżniaczy, czy też przez życie wstrzemięźliwe i czynne? Ażeby znaleźć odpowiedź na to pytanie, przejrzymy kilka poważnemi świadectwami poręczonych życiorysów ludzi przeszło stuletnich.

Najsłynniejszym ze wszystkich ludzi długowiecznych, z dawniejszych czasów był chłop angielski, Tomasz Paar vel Parre. Urodził się on w roku 1483 w Winningtonie, umarł zaś 1635 roku, mając lat 152 i miesięcy dziewięć. Ożenił się po raz pierwszy dopiero w 80-tym roku życia, a po 32-letnim pożyciu małżeńskiem stracił żonę, z którą miał dwoje dzieci; poczem, mając lat 120, poślubił młodą wdowę, którą również przeżył. Do ostatnich niemal dni życia wykonywał najcięższe roboty, nie wyłączając młócki, przyczem żywił się zawsze najprostszemi pokarmami. Dopiero krótko przed śmiercią, wzrok i pamięć zaczęły mu niedopisywać. Żył zawsze nadzwyczaj skromnie, pożywienie jego składało się głównie z chleba, sera, piwa i mleka.

W roku 1635 hrabia of Arundel sprowadził go jako dziwny okaz na dwór Karola I do Londynu, gdzie nawykłemu do prostego jadła starcowi, zastawiono najwykwintniejsze potrawy i napoje, w następstwie czego 19 grudnia tegoż roku umarł z powodu cierpienia żołądkowego. Słynny lekarz Harvey dokonał sekcyi trupa i stwierdził, że wszystkie jego narządy były zupełnie zdrowe, z czego wywnioskował, iż zmarły byłby mógł żyć o wiele dłużej, gdyby nie pożywienie niezwykłe.

Nie mniej głośny od poprzedniego był norwegczyk, Jakób Drakemberg. Żył on pod panowaniem siedmiu monarchów duńskich i umarł roku 1770 w Arhus w Jutlandyi, mając lat 146. We wczesnej młodości zaciągnął się do marynarki, i do 91 roku życia służył jako majtek, w którym to czasie dostał się do niewoli tureckiej i w niej 15 lat pozostawał. Mając lat 111 ożenił się z 60 letnią wdową, po jej zaś śmierci uderzył w konkury do młodej dziewczyny wiejskiej.

Ażeby jej dowieść swej krzepkości, przeskoczył raz dolną połowę drzwi w poprzek przeciętych, jakie zazwyczaj widujemy w chałupach chłopskich. Lecz ten dowód siły i czerstwości nie odniósł pożądanego skutku; nieprzekonana nim panna odrzuciła zaloty przeszło stuletniego konkurenta. Jeszcze w 142 roku życia jary staruszek odbywał dalekie, kilkogodzinne przechadzki piesze. Przez cały ciąg swego istnienia nie chorował nigdy.

O daleko starszym jeszcze człowieku zamieścił w roku 1878 wiadomość londyński tygodnik medyczny „The Lancet''. Na zebraniu lekarskim w Bogocie, dr. Ludwik Hernandes opowiadał o niedawnych swych odwiedzinach u pewnego gospodarza wiejskiego, nazwiskiem Miquel Solis. Człowiek ten miał lat 180, co potwierdzał własnoręczny jego, przez niego samego uznany podpis na liście tych, którzy składkami swemi przyczynili się w roku 1712 do wzniesienia klasztoru franciszkańskiego w San Sebastian. Dr. Hernander zastał staruszka gorliwie pracującego w ogrodzie. Skóra jego miała wygląd pergaminu, długie śnieżno białe włosy okręcone były na podobieństwo turbanu naokoło głowy. Solis odpowiadał chętnie i wyraźnie na wszystkie zadawane mu pytania, i oświadczył, iż późny wiek przypisuje jedynie nad wyraz umiarkowanemu trybowi życia, jaki od najwcześniejszej młodości prowadził, nigdy bowiem nie zdarzyło mu się przebrać miary w jedzeniu ani piciu.

„Jadam teraz tylko raz dziennie — mówił — ale za to tęgie i posilne potrawy, które mnie nieraz dobre pół godziny czasu kosztują, zanim się z niemi uporam. Lecz widzi pan, niepodobna chyba przez pół godziny zjeść więcej, aniżeli można strawić przez godzin 24. O mięso mało dbam;

pierwszego i piętnastego każdego miesiąca suszę cały dzień, poprzestając wówczas jedynie tylko na wodzie. Wszystkie potrawy spożywam dopiero wtedy, gdy w zupełności ostygną, i tej te ostrożności przypisuję swoje późne lata."

Późnego wieku dożyła też mieszkanka Wiednia, Magdalena Ponza, zmarła 20 lutego 1890 roku we wieku lat 115. Matkę straciła, będąc dzieckiem potrocznem; ojciec jej wkrótce ożenił się powtórnie, macocha zaś postarała się, ażeby młodość nie płynęła jej po różach. Magdalena wyszła młodo za mąż za tkacza i wydała na świat siedmioro dzieci. Owdowiawszy, z trudem utrzymywała liczną rodzinę z handlu owocami i warzywami, dopóki najmłodsza jej córka, wyszedłszy za mąż, nie wzięła matki na stare lata do siebie. Mając lat 109, po raz pierwszy zasięgła porady lekarskiej, lecz bynajmniej nie z przyczyny osłabienia lub jakichkolwiek dolegliwości, będących naturalnym wynikiem późnego wieku, tylko z powodu nieszczęśliwego upadku, spadłą bowiem ze schodów i musiała położyć się do łóżka.

Po dwóch tygodniach powróciła w zupełności do zdrowia, odzyskała zwykłą swą krzepkość, była rozmowną i cieszyła się doskonałym apetytem. W ostatnich dniach życia jeszcze okazywała wyjątkową rzeźkość i przytomność umysłu. W przeciągu niespełna 48 godzin nastąpił gwałtowny upadek sił i przejście z życia do śmierci dokonało się łagodnie, bez żadnej walki.

Powyższy szereg przykładów długowieczności mógłby być jeszcze znacznie przedłużony, lecz poprzestaniemy tu na tych kilku przytoczonych wypadkach prawdziwych i świadectwami lekarskiemi poręczonych.

Otóż, czy sposób życia tych wszystkich starych ludzi był jednakowy? Nie. Czy może od dzieciństwa już znajdowali się oni w szczególniej przyjaznych warunkach, pozwalających im w odpowiedni sposób pielęgnować i oszczędzać swe ciało? Bynajmniej! Większość ich nawet z nielada trudem i mozołem przebijać się musiała przez życie. O żadnym z nich również nie znajdujemy wzmianki, jakoby był jakimś wyjątkowo silnym ustrojem ciała obdarzony.

Widzimy więc z tego jasno i wyraźnie, że sztuka przedłużania życia nie podlega na żadnych szczególnych, temu celowi służących środkach i staraniach, ani tembardziej na tak zwanych „eliksirach życia", lecz tylko na przestrzeganiu prawideł naturalnych, ustalonych przez naukę, rozsądek i długoletnie doświadczenie, te najwyższe dobra ducha ludzkiego. Przytem zaznaczyć należy, że silny ustrój ciała nie jest bynajmniej zadatkiem długiego życia, bo też smutno byłoby, gdyby każdy już od urodzenia wypisaną miał na czole liczbę lat, jakie mu przeżyć przeznaczono.

Przeciwnie, człowiek o słabym ustroju, umiejący oszczędzać i zarazem wzmacniać swój organizm, może żyć dłużej, aniżeli osobnik, obdarzony lwią siłą, postępujący wręcz odwrotnie. Co więcej, silny ustrój może nawet sam przez się wyjść na niekorzyść swemu posiadaczowi, jeśli ten bierze z niego pohop do lekkomyślnego postępowania i licząc na swą „poczciwą naturę", grzeszyć będzie do woli niewstrzemięźliwością. Doświadczenie uczy również, że t. zw. „natury słabe" często okazują o wiele większą odporność względem chorób i innych wpływów szkodliwych, aniżeli silne.

Szczególniej stosuje się to do świata dziecięcego, gdzie wrodzona słabowitość nie może być zawsze uważana za wróżbę niepomyślną na przyszłość.

Zdrowie bowiem i siły cielesne, to kapitał, który tem dłużej trwa, im oszczędniej się z nim obchodzimy, podczas gdy rozrzutność pod tym względem mści się nietylko na kieszeni, ale i na samem życiu.

PRAKTYCZNE RADY.

Świerzb.

Zaraźliwa i dotkliwa choroba, świerzbem zwana, jest nieraz powodem wielkiego utrapienia w rodzinie, a najwięcej tego człowieka, który tą chorobą został dotknięty.

Dobrym środkiem na to jest kąpiel z ługu. Na ten cel robi się kąpiel o 29° lub 30, wsypuje się do niej sporą ilość popiołu z drzewa twardego, albo co lepiej, można popiół razem z wodą zagrzać i w tej kąpieli chory się kąpie jakie pół godziny. Im silniej było ciało chorego zajęte pasożytem świerzba, tem milszą będzie dla niego taka kąpiel, bo już wśród kąpieli odczuje chory błogie jej skutki. Pęcherzyki świerzbu po kąpieli zbieleją, przyschną, wkrótce się wyłuszczą, nie zostawiając żadnego śladu. Jedna taka kąpiel do zupełnego wykurowania się wystarczy.

W początku zaś choroby, jeżeli ona np. zjawi się na rękach wskutek zetknięcia się z chorym przez ujęcie jego ręki, wystarczy zrobić takiej gorącej wody ługowej w małem jakiem naczyniu i wymoczyć w niej ręce przez pół godziny. Niech jednak w tym wypadku chory z ogrzanemi rękami w kąpieli nie wychodzi na ostry zimny wiatr, gdyż łatwo mogłaby się wskutek nagłego oziębienia rzucić róża na ręce, a tak z jednej biedy popadłby w drugą. Niechże po takiej, choćby częściowej kąpieli chory przeczeka potrzebny czas w mieszkaniu, aż ciało należycie wychłodnie.

Sposób na wyleczenie rąk z opierzchnęcia.

Na noc wymyć ręce w letniej wodzie, wytrzeć starannie i posmarować gliceryną, znosząc cierpliwie kilkominutowe szczypanie. Następnie obsypać ręce miałkim krochmalem, wycierając jedną o drugą. Na drugi dzień opłukać ręce w letniej wodzie. W ten sposób postępując, za kilka dni ręce mieć będziemy zupełnie gładkie.

Plamy z atramentu na drzewie

i podłodze usuwa się następującą mieszaniną: Zrobić ciasto z wapna, chlorku i wody i tem natrzeć plamę, a następnie spłukać czystą wodą. Jest to niezawodny sposób.

Czyszczenie cerat.

Zrobić mieszaninę z mąki kartoflanej, oleju lnianego, spirytusu i octu, tak aby się utworzył rodzaj pomady i tem nacierać ceratę kawałkiem flaneli. Następnie wytrzeć starannie ścierką.